

I/252

Maria Holko z d. Sucholet
relacja nagrana przez Janinę Wołczuk
wykorzystanie do tematu: Ziemia Lidzka



Maria Holko z d. Sucholet. ur. 15 grudzien 1921 r. Imiona rodziców: Nikodem i Karolina. Urodziłam się w Siękinientach i tam mieszkałam, chodziłam do szkoły. W Siękinientach mieszkali osadnicy na ziemi pochodzącej z parcelacji majątku. Wioska właściwa, która też się nazywała Siękinienta, była oddalona od osady około pół kilometra. Ojciec mój był osadnikiem. Mieliśmy 10 ha ziemi i 2 ha łąki, razem było 12 ha. Takich osadników jak my było w sąsiedztwie sporo. Koło nas mieszkała rodzina Uszaków /Uszak/, ale imion ich nie pamiętam. W rodzinie tej było trzech chłopców i dwie dziewczyny. Oni też byli wywiezieni, tylko została matka, bo jedna z córek Uszaków była już zamężna. A ponieważ matka była już staruszka, a ojciec już nie żył, to córka uprosiła, żeby tej staruszki nie wywozili - ona zabrała matkę do siebie. Wywieziono więc tych chłopców Uszaków /oni byli już żonaci, ale mieszkali wszyscy razem w jednym domu/ i jedną córkę. A ta zamężna Uszakówna już mieszkała osobno.

Po nas przyjechali w nocy. Myśmy spali. Była godzina może 3 nad ranem. Przyjechało parę wozów. Nas w domu było sześcioro rodzeństwa, ale dwoje już było poza rodziną: siostra starsza była już mężatką, mieszkała chyba z 8 km od nas, ale u nas było jej dziecko, Franek Adaszkiwicz. On miał sześć lat i na zimę braliśmy go do siebie. Starszy brat, też żonaty, poszedł do teścia. Przedtem ojciec został wezwany do sołtysa. Miało być zebranie - spotkanie z jakimś przedstawicielem z Moskwy. Ojciec poszedł na zebranie i po powrocie powiedział, że spisywali wszystkich osadników. Sołtys był prawosławny, był sołtysiem i przed wojną, Rosjanie po wkroczeniu nie zmienili sołtysa we wsi. Ale sołtys, kiedy Rosjanie weszli, mówił, że słońce jasne weszło. A we wsi niektórzy ludzie też się ucieszyli.

Maria Holko z d. Sucholet c.d.

Kiedy Rosjanie weszli w 1939 r., to we wsi było spokojnie. Nikt osadników nie grabił, nie było żadnych zamieszek. Nikt z osadników nie ucierpiał. Naszej starszej siostry nie wywieźli. A jak przyszli do nas, to posadzili nas za stół, wszystkich i powiedzieli, że będą szukali broni. Przewrócili wszystko i w domu, i w stodołę i w stajni, ale nic nie znaleźli. Po nas przyszło wojsko. Kazali nam się zbierać. Powiedzieli, że nic ze sobą brać nie wolno. Ale mama wzięła coś do jedzenia. Ale co było robić z tym dzieckiem! Rosjanin - żołnierz poszedł po sołtysa. Sołtys zabrał to dziecko do siebie. My siedzieliśmy na wozie, a dziecko stało pośrodku tych żołnierzy z sołtysem. Nas wywieźli, a siostra przez tydzień nie wiedziała o niczym, ani o tym, że nas wywieźli, ani o dziecku.

A starszy brat, ten żonaty, mieszkał z nami, ale jego nie zabierali. On wyprowadził się do tescia - 5 km od nas.

Zapakowali nas na sanie, przywiezli na stację Juraciszki, zapakowali do wagonów. Wieźli w wagonach nas cały miesiąc.

W Siękinientach byli nauczyciele. Kiedy pojechałam w 1965 roku w goście do siostry do Michałowszczyzny, to w Trabach spotkaliśmy takiego starszego mężczyznę - to był teść córki pani Zawadzkiej - naszej nauczycielki z Siękinient. Z tego wynika, że naszej nauczycielki nie wywieźli. Ona mieszkała tam z rodziną.

W drodze zatrzymywali się na niektórych stacjach, dawali gorącą wodę. A drodze ludzie umierali, przeważnie dzieci. W wagonie było 30 rodzin, na środku stał piecyk, w rogu wagonu wydziubali dziurę, żeby było gdzie się załatwić. Wszystko było w tym wagonie - i spanie, i, przepraszam, sr...e. Piecyk był okrągły, to gotowali na tym piecyku najpierw ci, u kogo były małe dzieci.

W wagonie byli nie tylko osadnicy. Były żony gajowych.

Przywieźli nas do Kazachstanu, do Stepniaka. Mieszkaliśmy wszędzie, gdzie się dało. Byliśmy bez jednego brata, bo brat Stanisław uciekł w chwili, kiedy nas ładowali do wagonu. Nie było go

Maria Holko z d. Sucholet c.d.

przez dłuższy czas. A drugi brat - Bronisław - poszedł potem do Andersa i potem został w Anglii. Bronisław był z 1911 r. Brat ten już nie żyje, zginął w wypadku samochodowym. Brat ten się ożenił z włoską. Miał jednego syna. A ta włoska przyjechała do Anglii do pracy. Brat przyjeżdżał kilka razy do nas. Ostatnio kiedy był u nas, postanowił, że kupi w Brzegu dom i na emeryturę wróci do łolski. Ale po powrocie do Anglii zginął w wypadku samochodowym. Nie wiem nawet, gdzie pracował.

A w stepniaku mieszkaliśmy w jednym pomieszczeniu - 7 rodzin. Były trzy rodziny Uszaków, była jeszcze jedna starsza pani z córką, była też jeszcze żona leśniczego z synkiem i jeszcze jeden pan. Moi rodzice już nie mogli pracować, byli starszy. Ale mama początkowo trochę pracowała. A my młodzi poszliśmy do kopalni. Ja pracowałam pod ziemią, a siostra na powierzchni. Ja ładowałam kamień na wózki, pracowałam chyba 12 godzin - o chłdzie i o głodzie. Dawali kartki żywnościowe, na nich było chyba pół kilo chleba dziennie, jakiś tłuszcz, kasze. To trzeba było wykupić. Dostawałam pensję 250 rubli. Brat Bronisław pracował trochę na budowie, dopuki nie poszedł do wojska. A z bratem Stanisławem było tak: mama chodziła do NKWD, prosiła, żeby go też przywieźli do nas. W końcu przywieźli i jego, może minęło pół roku; wiem tylko, że ciepło było, może to był lipiec albo sierpień. Kiedy starszy brat szedł do wojska, to i on się zgłosił. Ale go nie wzięli, powiedzieli, że dwóch z jednego domu nie można brać. A rodzice dostawali 100 gramów mąki dziennie jako wykupienie. Potem brat Stanisław poszedł też do wojska, spotkaliśmy go dopiero w 1947 roku, kiedy już mieszkaliśmy w Jarach /k. Wołowa/.

Kiedy przyjechalismy do Polski, to w naszym późniejszym domu w Jarach mieszkaly jeszcze dwie stare Nienki. Nie miały nic do jedzenia.

Maria Holko c.d.

Kiedy byliśmy później na Ukrainie, to ja pracowałam na kuchni, a siostra była przy zbożu. To rodzice tam się żywili w tej kuchni. Na Ukrainie nam już było lepiej. Mieliśmy już swoje kury. Mieszka-
liliśmy w takim pomieszczeniu przy magazynie, poprzednio tam było
może jakieś biuro. Początkowo nas dali do jednej kobiety. Ona mia-
ła dwoje dzieci, a mąż był chyba na froncie. Potem, chyba w 1945
roku, wrócił jej mąż z wojny i wtedy nas przenieśli do tego maga-
zynu. Na Ukrainę przejechaliśmy na wiosnę 1945 r. Kiedy byliśmy w
Kazachstanie nie mieliśmy żadnego kontaktu z bratem czy siostrą,
którzy pozostali na Nowogródczyźnie. Tak że żadnych paczek ani
listów nie otrzymywaliśmy. Żyliśmy tylko z tego, co tam dostawaliś-
my. Nie słyszałam też, żeby inni Polacy mieli jakiś kontakt z do-
mem.

Ludzie w Kazachstanie żyli zgodnie, mimo iż mieszkaliśmy w jed-
nym pomieszczeniu. Mieszkaliśmy tak razem dopuki nie wybudowano
takich bloków. Bloków było kilka, nazwaliśmy je "Warszawa".
W bloku tym każda rodzina miała już swoje pomieszczenie. Ale nie
mieszkało się wygodnie, bo nie było przecież ani pościeli, ani
czym się przykryć. Kiedy przychodziliśmy z pracy, to było zimno.
Ojciec nasz skleił jakiś piec z gliny, ale nie było czym palić.
Lasy były gdzieś kilkanaście kilometrów od osiedla. Byli tam miej-
scowi Kirgizi. Kupowaliśmy więc czasami opał od nich. Wymienialiś-
my na herbatę czy chleb, bo my to dostawaliśmy na kartki. A oni
mieli mleko.

Mieszkali tam też ruscy ludzie. Też nam czasami pomagali. To
byli dobrzy ludzie.

Latem mama chodziła z innymi kobietami, zbierała nawóz krowi,
suszyła i tym paliła.

Losy naszych sąsiadów Uszeków z Siękinient: Broniek, to nawet
moj narzeczonny, poszedł razem z moim bratem Bronkiem do Andersa
i też nie wrócił, został w Anglii. Stachu Uszak też poszedł do An-

Maria Holko c.d.

dersa. Zostawił żonę i czworo dzieci. Średni Józek wrócił tutaj z rodziną, zamieszkał we Wrocławiu. Ten, który zostawił żonę i czworo dzieci, to przypadek bez wieści. Żona nie miała żadnych wiadomości od niego.

Święta. Wiedzieliśmy, że są święta. Zbieraliśmy chleb, oszczędzaliśmy wcześniej, żeby choć na święta zjeść chleba do syta. Niektóre panie miały figurki Matki Boskiej i obraski. Kiedy mieszkaliśmy już w blokach, to w jednym mieszkaniu zaczęto odprawiać nabożeństwo majowe. Ale przyszło NKWD - rozwalili wszystko, rozbili, zdeptali i powiedzieli, że nikt nas stąd nie wybawi i Matka Boska nic nie pomoże. Od tego czasu ludzie już razem się nie zbierali.

Pogrzeby. Ludzie w Kazachstanie umierali. Ja sama nosiłam trupy. Wyniesie się od bloków, trumien nie robili. Zmarłego zawijano się w przescieradło czy jakąś szmatę. Umierały przeważnie dzieci. Jedna kobieta, żona gajowego miała siedmioro dzieci. Z tej siódemki zostało tylko jedno przy życiu. Dzieci umierały straszenie, z głodu. Chorowaliśmy wszyscy na czerwonkę. Był szpital, lekarze byli Rosjanie. Mój brat, ten z Anglii, chorował bardzo ciężko, ale jednak wyzdrowiał. Zmarłych zakopywali, bo w śniegu chodziło było. Był wyznaczony kawałek ziemi na cmentarz dla Polaków. Ale teraz już tam nic nie ma.

Takie życie to była nędza - głód i chłód. Po przyjeździe a pracy kładliśmy się na pryczy, na ścianie śnieg. Kufajkę podścielisz, kufajkę się przykryjesz. Nawet siennika nie było. Było zimno. Zimą i latem, bo lata było niewiele.

Na Syberii naród był rozmaity. Rosjanie byli już nawet zagospodarowani, mieli i krowy i kury.

Dzieci chyba się nigdzie nie uczyły. Nowonarodzone dzieci nie były chrzczone, a dzieci się rodziły. Jedno dziecko Uszaków to ja chrzciołam już tutaj we Wrocławiu. Makarstwo nowych tam nie sawierano. Nie było żadnych par mieszanych, bo miejscowej ludności nie

Maria Kolko c.d.

wolno było do nas przychodzić. W jednym bloku było NKWD i oni pilnowali, żeby do Polaków nikt nie przychodził. Można było rozmawiać w pracy, a po pracy żadnych kontaktów nie było. Latem w niedziele można było wychodzić z baraków, to nie było tak, żeby te baraki były ogrodzone.

Na Ukrainie też nie nie widziałam poza pracą. Byłam z kucharką we dwie na całą stożówkę. Stożówka była dla ludzi, którzy pracowali w polu i dla Niemców - jeńców wojennych, którzy pracowali przy ślusarce. Niemców było może ze 20. Kiedy ich przyprowadzili, to kucharka kazała ich obsłużyć nie w stołówce, a w kuchni, bo już było późno. Nie gotowałyśmy nic innego, tylko zupy. Zupę tą woziłam pracownikiem na pole, było tam wśród pracowników chyba z 5 rodzin polskich.

To było piekło, a nie kuchnia. Tuliło się w kuchni sianem, słomą. Tę słomę nosiłam koszem i widkami ładowałam pod kotły. Ludzie nie mieli też czym opałać mieszkani. Nie wiedzieli, dlaczego nie dawali drzewa do kuchni. Ale mimo to było już lepiej - rodzice mogli przyjść i zjeść chociaż tej zupy.

O możliwości wyjazdu do Polski dowiedzieliśmy się chyba od Kopyjana /on teraz mieszka chyba w Uraniu/. Nie mieliśmy żadnych wiadomości od rodzinstwa. Dopiero po przyjeździe tutaj poszukiwałam siostry przez Czerwony Krąg, tej, która została na Kresach. Siostra jeszcze żyje. Jest z 1910 roku. A brat wyjechał gdzieś na Łotwę. Byłam niedawno u siostry. Rodzina siostry mówi po białorusku, młodzież mówi przeważnie po rosyjsku; a przed wojną my też mówiliśmy po białorusku, ale do kościoła chodziliśmy polskiego - ksiądz kazania mówił po polsku i spowiadał też po polsku. Część ludzi chodziła do cerkwi. Cerkiew była w Trubach. Ale ludzie żyli ze sobą zgodnie. Do szkoły przyjeżdżał ksiądz na religię, a następnego dnia przyjeżdżał pop do prawosławnych dzieci. Nauczycielka była miejscowa, uczyła wszystkie cztery klasy. We wsi nie było ani świetlicy, ani biblioteki. Młodzież się zbierała po domach.

Maria Helke c.d.

Młodzi na wsi płacili muzykantom i tańczyli, śpiewali. Orkiestra miała najczęściej w składzie akordeon, bęben, cymbały i skrzypce. Na skrzypcach to grało dużo ludzi. Moja rodzina była muzykalna: ojciec grał na skrzypcach, Bart Brenisław - na cymbałach, a ten z Jarów - Stanisław - na harmonii. Ale oni po weselach czy zabawach nie grali, tylko ot tak dla siebie. Mieli swoje instrumenty, ale przy wyjeździe do Rosji nic nie wzięli; wszystko od razu pozamykali. Cały nasz dobytek przepadł.

224